

[ Trafki z imentu ]

## Mediacje z miednicami

Adam Poprawa

Tę anegdotę Norwid zapisał trzykrotnie; w liście do Władysława Bentkowskiego, wysłanym z Paryża w listopadzie 1867 roku, nadał jej taki kształt:

„Przypominam sobie szlachcica, który mówił, że lubi i muzykę. «Bo to (powiada mi) jak sobie wrócę z pola, i sobie siędę, i Maciej mi obuwie z-zuje, to ja sobie siędę i nogi moczę, a żona mi gra na fortepianie Chopina – a ja sobie tak lubię słuchać, moczając nogi»”.

I w tym fragmencie znać od razu nowatorską myśl Norwida. Sto pięćdziesiąt zatem lat temu analizuje on upodmiotowioną perspektywę odbioru dzieła sztuki, mocno nacechowaną somatycznie. Tego rodzaju zindywidualizowane recepcje rozpowszechniły się dziś; często mam wrażenie, że biorę do ręki książkę, płytę lub film, które musiały wcześniej wpaść do miski, obok moczonych nóg kogoś, kto lubi i literaturę. I lubi i kino. Chciałbym bardzo te wydawnictwa osuszyć, co staje się coraz trudniejsze.

Bohater *Kartoteki* usłużył zdrożonemu Wujkowi miednicą z wodą. Później poczęstował tym naczyniem Pana z Przedziałkiem: „Lepiej napij się wody. [...] W tej wodzie moczył nogi uczciwy, prosty człowiek”. Żywię natomiast zasadne podejrzenia co do uczciwości tych, po których nie mogą wyschnąć moje książki, płyty, defaldki – kupowane przecież jako nowe.

Ze szlagonem Norwida byłoby jeszcze pół biedy. Siedziałby sobie, moczył nogi i słuchał Chopina, o jego doznaniach estetycznych zaś wiedzieliby

co najwyżej najbliżsi znajomi. Owszem, trafił na pisarza, którego talent i wycucie absurdu (a tak!) wprowadziły jego postać do literatury, o czym nigdy się pewnie ta postać nie dowiedziała. Ale też jej poglądy na muzykę były kwestią ściśle prywatną, owszem, pewnie z silną pretensją do uogólnienia, lecz bez specjalnych starań upowszechniających.

Sylvia Beach, wydając w 1922 roku *Ulyssesa*, nie pomyślała, żeby opatrzyć tom banderolką z napisem na przykład: „Mocne! Aż się musiałem napić! Patrick O’Raphety, rugbysta”. Być może zresztą pierwsze wydania XX-wiecznych dzieł osiągają na Zachodzie tak wysokie ceny, ponieważ między pisarzem a czytelnikiem nie pojawiali się pośrednicy ze swoimi miednicami. Nie idzie tu tylko o osławione blurby. Moczący nogi zajmują bowiem coraz więcej miejsca. To już nie tylko dwa zdania na okładkach, ale istne rozpanoszenie się we wstępach. I nie są to wprowadzenia osób szczególnie do tego powołanych. Pisałem już o tym przy innych okazjach; niestety, przykładów przybywa.

Pojawiło się wznowienie *Przypadków inżyniera ludzkich dusz* Škvorecký’ego. Wielka, wielka powieść, świetny przekład Andrzeja S. Jagodzińskiego. Tym, którzy nie znają jeszcze tego olśniewającego dzieła, radziłbym serdecznie rozejrzeć się za poprzednim wydaniem, przygotowanym przez sejneńskie Pogranicze w roku 2008. Tamta edycja jest – nie tyle o niebo, ile o kulturę – lepsza pod względem typograficznym, intro-ligatorskim, nade wszystko zaś merytorycznym. Czytelnik obcuje tam wyłącznie z pisarzem i jego tłumaczem, w wydaniu nowszym natomiast ciągle ktoś wychlapuje wodę z miednicy. Na – jak to nazwać? – ćwierćobwolucie przyklejonej do grzbietu dwukrotnie pojawia się nazwisko Škvorecký’ego – dwukrotnie też na tym skrawku popisuje się Mariusz Szczygieł. Strona przed- i tytułowa – Škvorecký dwa razy. Wewnętrzne strony okładki – dwa podpisane wejścia Szczygła. Strona redakcyjna: copyright dla nieżyjącego już pisarza i copyright na wstęp Szczygła. Jak widać, wydawnictwo Dowody na Istnienie zadbało o to, żeby Škvorecký nie przysłonił przypadkiem polskiego dziennikarza. Nie można było poprosić tłumacza o napisanie paru zdań? Albo znaleźć kogoś, kto ma coś do powiedzenia o pisarzu? Tymczasem Szczygieł zaczyna od skrótu recepcji i brawurowej tezy interpretacyjnej: „Pisało się o tej książce jako o «światowej powieści czeskiej». Mówi ona o tym, że głupio jest wszędzie”. I na tym kończy się pierwsza część edytorskiej tetralogii

Szczygła, w której dokonał on odważnego uogólnienia doświadczenia wewnętrznego. W następnym wejściu pojawiają się pikantne anegdotki, które zapewniłyby komentatorowi powodzenie w niejednej remizie. I na tym wyczerpuje się wiedza Szczygła o powieści, gdyż na trzeciej stronie okładki przedstawia on „jeden z moich [Szczygła] ulubionych cytatów”, ale już z innego dzieła Škvorecký’ego. Czwarte wejście jest już ogólnobohemistyczne, pierwsze zdanie wydrukowano rozstrzelonym drukiem i wersalikami: „W Czechach nazywam się Stehlík. Tak brzmi po czesku słowo «szczygieł». Seria STEHLÍK to mój autorski wybór literatury. Kilka razy w roku zaproponuję Państwu najlepsze czeskie książki. Takie, od których nie mogłem się oderwać”. Poglądy aksjologiczne Szczygła mają zdumiewająco podobną logikę do sądów estetycznych Norwidowskiego szlachcica. Najlepsze, bo ja się nie mogłem oderwać. Chopin jest dobry, bo dobrze mi się przy nim moczy nogi. Na miejscu Szczygła nie popisywałbym się tak nazwiskiem. Poprava znaczy po czesku egzekucja.

Andrzej Stasiuk posiada natomiast miednicę obwoźną. Agora (przypomnę) wydała piękny album *dylan.pl*, w którym sporą część zajęła proza Andrzeja Stasiuka *Mississippi*. Nie powiem, autor ten pisał czasem ciekawie o muzyce, pamiętam jego esej o relacjach między rytmem prozy a stylem gry jazzowych perkusistów. Tym razem jednak – a jest to pierwsza polska tak kompetentna i tak udana artystycznie dylanowska premiera, przygotowywana przez dekady przez Filipa Łobodzińskiego – Stasiuk ma do powiedzenia tylko tyle, że jeżdżąc po Rosji czy Polsce, słucha Dylana, a nie muzyki rosyjskiej, polskiej czy angielskiej. Jak mu gra Dylan, kładzie sobie nogi na pedale gazu i hamulcu i sobie słucha.

Owszem, można wyjść czy raczej wychylić się z miednicy w stronę międzytekstowej i egzystencjalnej metafory:

„«Te buty są do chodzenia  
i robią właśnie to.  
Aż kiedyś przejdą  
po tobie».

Fragment piosenki zasłyszanej dawno, dawno temu w USA, co się przypomniał podczas trzymania nóg w gorącej wodzie, przed sesją pedikiuru. Buty leżały obok”.

Ale do tego trzeba być Mrożkiem.